Tom V. Nr. 12.

21. Października. 1861.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

NAJŚWIĘTSZA PANNA I PACHOLĘ.

W miasteczku Pokrzywnicy, blisko Sandomierza i Wisły był kościół bogaty, a w ołtarzu wielkim była Najświętsza Panna z Jezuskiem malutkim na rękach. Była tam jedna pamiątka zawieszona na ołtarzu, t. j. były tam drogie korale, a te złożyła jedna matka na ofiarę Najświętszej Pannie za cud. Otóż raz stali tam koło ołtarza chłopi z Polski, a starszy Walenty Swiątyń tak się zapytał kościelnego:

— Prosimy was! ojcze kościelny, co to za rzecz ciekawa z temi koralami?

Kościel. Ho! ho! moi kochani, to cudowna pamiątka, jak to raz uratowała życie Najświętsza Panna jednej dziewczynie tu przed ołtarzem.

Na te słowa przyklękli chłopi i westchnęli, a patrząc z pobożną twarzą na obraz święty, pytali:

— A cóż to się takiego stało? czy może chorą tu przywiozła matka biedna, czy może był jaki przypadek z tą dziewczyną?

Kościel. A dobry mi tam przypadek! a czy to nie słyszeliście nigdy o tem, że dawno napadali nasze kraje polskie jacyś tam pogany, co to zowią ich Tatarami? Toć przecie takie rzeczy powinniście wiedzieć; wszakto i wy Polacy, a nie jakie przywłoki; wszak ten cud stał się dla chłopów polskich, waszych dziadków, a wyście także synowie ich.

Walenty. Nie gniewajcie się panie kościelny, bo jużci my to wiemy, żeśmy Polacy a nie co innego, ale gadajcieno o tym cudzie, abyśmy to w domu opowiadać mogli.

Kościel. Otóż widzicie, jak to źle, że wy się uczyć nie chcecie, aniście nie ciekawi, co to było w dawnej Polsce. Tać to taki głośny cud, a wy o nim nie wiecie. Ale ja wam opowiem. I poprawił sobie kościelny białą chustkę na szyi, zapiął kapotę na guzik kościany, zażył tabaczki, odkrząknął i tak opowiadał:

— Tu raz napadli Tatary! A oni tu przyjeżdżali zawsze w twardą jesień, jakto już błota i rzeki zamarzły — bo to wtedy było co brać i z obory i z komory, bo to już każdy miał chleb w domu, co mógł to poprzedał, więc miał i dukaty, a te niewiary bezecne mogły ledziuteńko na koniach przelecieć po lodach i brać co się wlazło. A jak napadli, to z nienacka obstąpili wieś, zapalili na cztery rogi, ludzi wytłukli, a co żywe to brali i uciekali z tem, aż tam znowu gdzieś się dzielili z rabunkiem, i wracając do domu mieli z czego żyć znowu aż do drugiej jesieni.

Wal. A czyż to nie byli wtedy ludzie tacy, jak my na świecie? przecie było można się bronić!

Kościel. Jaki wy odważny gospodarzu! Cóż było robić, kiedy Tatary leźli do wsi jak muchy w lecie do śmietany? To też jak się i chłopi z pierwszego przestrachu upamiętali, to im nieraz wyłatali plecy, aż Tatarom w oczach świeciło, a co w jednej wsi zabrali Tatary, to w trzeciej wsi dobrze to chłopi odbili i nakładli Tatarów jak kloce na most wielki.

Ależ bo słuchajcie jeno dalej o cudzie:

Otóż było to w sam dzień Niepokalanego Poczęcia, kiedy tu do Pokrzywnicy wpadli Tatary. Ludzie byli tu na Roratach dodnia, a Tatary rabowali ich domy i zabijali dzieci. Aż zrobił się straszny gwałt po mieście i ktoś krzyknął: — Tatary

palą i są tu koło kościoła! Co to się działo, to prawie był sąd Boży! Tu wpadli ci pohańcy, zarąbali przy ołtarzu tym księdza, potratowali lud, porąbali chorągwie, połamali lichtarze na ołtarzach, zrabowali kielichy i monstrancyę, i było tu tyle krwi, ile w stawie wody.

Wal. A jakto na koniach tu wjechali ci rabusie i w czapkach het! bez uszanowania?

Kośćl. A jużci nie inaczej! ta gdzie tam Tatar zważał na co świętego, tać oni zerwali wtedy z głowy koronę złotą tej samej Najświętszej Pannie, a tę co widzicie, sprawił potem pobożny pan jakiś. I otóż widzicie! jak już pomordowali wszystko, a jedna dziewczynka wlazła ze strachu pod trumnę zaduszną i tam cicho siedziała — ale słyszała ona jęk i płacz konających, i wystawiła główkę z pod trumny i wołała:

— Mamunio moja! tatuniu mój! gdziewyście? o moja Panno Najświętsza ratuj-że mię!

A Tatar nadleciał na to i chciał toporem uciąć główkę dziewczynce sierotce, bo już wtedy nie żyli jej rodzice, ale leżeli porąbani na środku kościoła i zalani krwią, że ich mało co widać było ze krwi. Ale Panna Najświętsza stanęła żywa koło tej dzieciny, w białej sukience z twarzyczką jasną jak słoneczko przy zachodzie pogodnym, nad nią dwanaście gwiazd, a koło niej aniołki skrzydlate, których piórka błyszczały jak róże rozkwitłe, a w kościele jasność, jakby tysiąc gromnic zapalił.

Dziewczynka wyciągła ręce ku Niej i wołała płacząc:

— Gdzie moja mama?

A Panna Najświętsza rzekła:

— Teraz ja będę twoją mamą dziecino moja — wyleź z pod trumny; oni ci nic nie zrobią, oni twej główki niewinnej ani ruszą!

A Tatar machnął ostrym i szerokim toporem, ale mu do razu ręka zdrewniała, i stał tak nieruchomy. Na to drugi i trzeci nadleciał, i to samo się im stało. Struchleli Tatary i uciekli z kościoła, a wtedy nie jeden żywy, co jeszcze dychał, podnosił głowę, ocierał się rękami ze krwi, i widząc to zjawisko cudowne i tych zdrewniałych Tatarów, wołał głośno:

— O nasza Królowo! o święta Matko polskich dzieci! ratuj nas! Co to się dzieje z nami? czy już nie ma dla nas ratunku?

A Najświętsza Panna odpowiedziała:

— Nigdy nie zginiecie moje dzieci! Tatary zginą, a wy zostaniecie!

I znikło zjawisko cudowne!

Pogrzebali zabitych, a krewna tej dziewczynki zawiesiła te korale na pamiątkę tego cudownego uratowania. I otóż do dziś są te korale — choć one nie gadają, ale kto to wie, ten sobie może zapłakać z wdzięczności nad opieką tej Panny Najświętszej.

A chłopi, wysłuchawszy tej historyi, podziękowali, poklęczeli i poszli smutni do domu, rozmyślając o dawnych cudach na Polskiej ziemi.

Ks. Wojciech z Medyki.

O NASZEJ ZIEMI ŚWIĘTEJ.

Prawdęć mówi Kuba stary,
Bóg mu zdrowie daj!
Niemasz ci jak świat szeroki
Oj! nad polski kraj!

Niemasz! niemasz! jak kraj polski —
Tu mój Jezu żyć,
Rolę orać, pieśni śpiewać,
Da! i chwacko bić!

Polska ziemia — święta ziemia,
Dla Polaka raj!
Tak do serca się uśmiecha,
Gdyby kwietny Maj!

W polskiej ziemi święta mowa,
Pełna Bożych słów,
Nią do brata, nią do wroga,
Nią do Boga mów.

W polskiej ziemi pełno żyta,
Jest w niej sól i chleb,
Jest wszystkiego w łaskę Bożą,
Mięsiwa i ryb.

Jest wszystkiego w łaskę Bożą!
Dał wszystkiego Bóg:
Są spichlerze pełne ziarna,
Pełen zboża bróg!

Niemasz! niemasz! jak kraj polski,
Tu mój Jezu żyć,
Rolę orać, pieśni śpiewać,
Da! i chwacko bić!

Prawdę mówi Kuba stary,
Bóg mu zdrowie daj!
Niemasz ci jak świat szeroki
Oj! nad polski kraj.

HISTORJA
o sierocie Bogu-miłej.

(Dokończenie.)

Tymczasem na jesieni, przyszło wojsko. — Nie daleko chaty, gdzie była Marysia, stanął starszy; bo tam była większa izba z komorą, i dzieci nie było. U gospodyni Marysi była krowa co dużo mleka dawała, tak starszy przysyłał po mleko co dnia; a że nie zawsze miał drobne pieniądze, to i bez pieniędzy posyłał; a jak się dużo nazbierało, to razem zapłacił.

Dnia jednego choć wziął mleka starszy i powiedział, że przyśle za wszystko co się należy, nie przysłał. Tak gospodyni mówi do Marysi:

— Idź prosto do starszego o pieniądze, bo mi trzeba tkaczowi zapłacić, a nie ma czem.

— Ach kiedy ja nie śmiem iść — odpowiedziała Marysia.

— Co to nie śmiesz? kiedy ci każę, to idź; nie zje cię; skłonisz mu się i powiesz: Przepraszam wielmożnego, ale gospodyni trzeba bardzo pieniędzy, więc mnie do pana przysłała.

Marysia posłuszna poszła, bo cóż miała robić?

Nadszedł gospodarz, i znów ją chciał posłać sam po coś tam; tak pyta: — Gdzie Marysia?

Jak mu żona powiedziała, że już dawno jak Marysię posłała, tak on na nią:

— Oj! kobieto Boga się nie boisz! żebyś miała swoją córkę, czybyś ją posłała tak do oficera? czy to nie wiesz co to wojskowi?

Gdy tak mówił, weszła Marysia jak ta piwonja, co to nią ołtarze stroją.

— A tobie co? — zapytał gospodarz. — Czy cię tam licho trzymało? — dodała gospodyni.

— Oj pewnie że licho — odpowiedziała Marysia z płaczem. — Nażartował sobie, że człowiek aż nie wiedział gdzie oczy schować.

— To było zaraz wracać — ozwała się gospodyni.

— Ale kiedy posłał do karczmy zmieniać, a mnie kazał czekać; a jakem się rozgniewała i iść chciała, to mi ode drzwi zastępował, a wszystko żartował i pokazywał złote pieniądze w woreczku. Tak ja stałam i modliłam się; to też nie śmiał mnie zaczepiać, tylko gadał. Aż przecie przyszedł z rublami, i ja poszłam.

— No i czegoż się mazgaisz? — krzyknęła gospodyni — i cóż ci się stało?

— Tak płaczę, bom sierota, to choć w ogień, to muszę iść kiedy każą.

— Nie bój się moje dziecko — powiedział gospodarz — nie pójdziesz tam więcej.

I na prawdę nie posłali jej, ale to nic nie pomogło, bo się oficer przyczepił tak, że jej przejść nie dał i obiecywał jej złote góry, żeby tylko dla niego dobrą była. Ale Marysia była głuchą na wszystkie pokusy, bo się bardziej grzechu bała niż śmierci.

Aż razu jednego, przychodzi do niej świekra gospodarza, którą oficer przekupił, i poczyna ją namawiać: że kiedy ona sierota, nie ma nikogo, coby o niej pamiętał, to niech nie gardzi bogatym panem, który jej da posag. A jak Marysia jej powiedziała, że choćby jej dał wszystkie skarby świata, to ona

woli cnotę niż sromotę — tak świekra dopiero zaczęła ją żałować: — Oj bieda ci będzie, bieda moja gołąbko! Nie ujdziesz ty jastrzębia! Sam mi powiedział, że jeżli nim pogardzisz, to on ci tego nie daruje, i ani się spodziejesz, jak cię każe żołnierzom złapać i wychłostać, że nie wstaniesz. — Masz wóz i przewóz, co wolisz? Ot mówię ci: każda coby miała rozum, toby poszła do niego; pan, młody, ładny, dukaty ci będzie dawał i będziesz szczęśliwa.

— Jutro się dowiecie co zrobię — odpowiedziała Marysia. A że mówiła spokojnie, uradowała się stara świekra, istna czarownica, i poszła.

Biedna Marysia załamała ręce jak odeszła baba, ale stanęły jej w myśli słowa dziadunia: „Uciekaj od grzechu bardziej jak od śmierci,“ i tak jakby jej coś szepnęło: Uciekaj!

— Ale gdzież ja pójdę biedna sierota? — mówiła, i zaczęła się modlić. A potem poszła do chaty, wywołała pod jakimsić pozorem gospodarza, i za stodołą stanąwszy, tak że nikt nie wiedział i nie słyszał — pada mu do nóg i mówi: — „Dziekuję wam gospodarzu za chleb i sól; niech wam tu Bóg błogosławi! Ja w świat iść muszę; Bóg nie opuści sieroty!“ Zdziwił się gospodarz; aż jak ona mu wszystko opowiedziała, tak pokręcił głową i zaczął powstawać na swoją kobietę, że to ona wszystkiego narobiła.

— Nie gniewajcie się na nią gospodarzu! Niech jej Bóg płaci za to, że mnie żywiła i do pracy naganiała; ja się teraz żadnej roboty nie zlęknę; każden mnie przyjmie. Nie mówię jej że odchodzę, boby mnie nie puściła; ale powiedzcie że ją błogosławię, i że jeśli mi Bóg pozwoli, to z wiosną jak wojsko wyjdzie, a roboty będzie wiele, to ja wrócę, żeby jej pomagać, i do nóg padnę za to żem odeszła.

Gospodarz ją błogosławił mówiąc: — Idź z Bogiem moje dziecko! Pozwolił jej wziąść nową sukmanę i chust parę, mówiąc, że to jej, bo przez tyle lat wysłużyła, i nauczył do której wioski ma iść, nie daleko Sawina, bo tam miał krewnych; to jak powie, że za służbą od niego, to ją przyjmą.

— Jeno bieda — mówił — żeby się tutejszy wójt nie spytał.

— Co się ma pytać? — odpowie ona — przecie ja obca; ja sierota z całego świata; ktoby się o mnie pytał? nie bójcie się gospodarzu; a spyta, to powiedzcie: była, służyła i gdzieś poszła jak przyszła.

Tego samego jeszcze wieczora, wymiarkowawszy taką chwilę, że jej nikt nie dopatrzył, puściła się w podróż biedna sierota. Nie szła sama, bo szła z Bogiem; krzyżem świętym się przeżegnała, medalik święcony co od dziadka miała, do piersi przycisnęła, owinęła się rańtuszkiem, ręce w sukmanę schowała i szybkim krokiem puściła się ku Sawinowi. A niechcąc po nocy iść daleko, do poblizkiej wioski wstąpiła; ale nie zaszła do karczmy — bo co jej to było po tem? — jeno do gospodarza, powiedziała że idzie do krewnych, prosiła o nocleg, przenocowali ją, a przed świtem poszła dalej. Jak tak Marysia idzie a pyta drogi od wioski do wioski, tymczasem tam, z kąd wyszła, wielkie zamieszanie. Gospodyni zrazu na cały głos pomstowała na niewdzięczną sierotę tak, że słyszeli i oficer i ludzie we wsi, którzy się dziwili, bo znali Marysię jako dobrą, pracowitą i skromną dziewczynę, i różne zaczęli domysły robić. Gospodarz uspokoił kobietę, mówiąc że ona może przyjdzie. Ale jak osądził że już Marysia daleko, tak dopiero kobiecie powiedział prawdę, a przytem tak jej uszu natarł, że baba choć twardego serca, aż płakała.

— Co to sierota! — mówił jej. — Sierota to dziecko Boże, bo prócz Boga nikogo nie ma! Słyszałaś jak to nieraz ksiądz Superjor mówił o Chrystusie Panu, że tak powiedział:

„Że nie będzie ten w Niebie, rzekł Boskiemi słowy,
Na kim cięży łza jedna sieroty lub wdowy.“

Albo to ona nieboga mało u ciebie łez wylała? — a za to cię jeszcze błogosławi i teraz nawet, kiedy przez ciebie na tułaczkę poszła!

Najbardziej gospodyni to do serca wzięła, że ona ją pożegnała i błogosławiła. Aż się sama przed sobą zawstydziła i w cichości przyrzekła sobie, że jak Marysia na wiosnę wróci, to lepszą dla niej będzie; nawet powiedziała mężowi: „Taki już

czas, naszego Iwanka żenić; Marysia dobra dziewczyna, to go z nią ożenimy.“

Zaszła Marysia szczęśliwie do krewnych gospodarza; ale oni nie mogli jej przyjąć, tylko powiedzieli jej, że pod Sawinem w jednej wsi, co już dawno oczynszowana, jest znajomy bogaty gospodarz, od którego dziewka poszła za mąż; teraz nie mają żadnej, to przyjmą. Przyjęli Marysię, i bardzo z niej kontenci byli i dobrze jej płacili; ale Marysi tam nie miło było, bo się kłócili w domu i pili. To też choć syn gospodarski zalecał się do niej, ona go nie chciała, a tylko prosiła Boga żeby ich oświecił i nawrócił; a oni czasem słuchali i dziwili się, zkąd ona im takie rzeczy mówi jak z książki; i czasem aż gospodynię za sukmanę ciągnęła, tak prosiła żeby nie szła do karczmy. Ta czasem i usłuchała jej, a czasem i nawymyślała; Marysia z pokorą wszystko przyjęła i jeszcze więcej modliła się za nich.

Tak prawie cała zima zeszła, i już niedaleko było Wielkiej Nocy. Aż tu wójt gminny rozgniewał się na gospodarza, że mu hardo odpowiedział, jak się pytał, co za dziewczynę trzyma z obcej gminy; i ostro mu zapowiedział, żeby ją do kancelaryi dostawił; że on z niej spisze protokół i każe do miejsca, zkąd jest, odprowadzić ciupasem. Ot i znów nieszczęście nad biedną Marysio; czyżby takiego wstydu miała się doczekać! A gospodarz, zwyczajnie jak człowiek co sobie gardło zaleje, zamiast prosić za nią, to mówił: „Nie doczekanie żebym się jemu kłaniał! Niech sobie ją odstawią; ja znajdę inną.“ Ale gospodyni lepsza była; uspokoiła Marysię, że pójdzie i za nią prosić będzie. Bo jak pierwej Marysia trafiła na dobrego gospodarza a złą gospodynią, tak znów teraz na odwrót: on był zły, a ona dobra. Często zdaje się tak Bóg umyślnie dopuszcza, żeby jedno drugie od złego wstrzymywało, jedno drugie namawiało do dobrego.

Poszła gospodyni z Marysią do kancelaryi; czekały długo, bo z okolicznej wioski i sołtysi przyszli z podatkami. A jeden z nich zapytał o Marysię zkąd ona, bo już ją nieraz widział w Sawinie w kościele. Marysia też jemu opowiedziała, jak ją gospodarz do krewnych posłał, i na tem koniec. Jak się już wójt

gminny uwolnił z podatkami, kolej i na nich przyszła, tak dopiero zaczął na nich krzyczeć, aż gospodyni języka zapomniała. Ale Marysia podeszła do wójta, skłoniła się i zaczęła mówić z płaczem, że ona sierota, żeby jej tej krzywdy nie czynił; że ona pójdzie jak on pozwoli, sama, i przyniesie świadectwo, albo też wróci służyć do tamtych gospodarzy, od których przyszła.

Ale wójt bał się widać, więc powiedział: — „Kto ciebie wie coś ty za jedna; możeś co w swojej gminie ukradła, albo co, i dlategoś uciekła.“ — Zaczęła się tłumaczyć że jej gospodarz pozwolił; aleby to było nie pomogło, żeby nie inni ludzie. Jak zaczęli jemu przekładać, że to dziewczyna tak trzeźwa, że pobożna, pracowita, że ona widać prawdę mówi: tak wójt nareszcie mówi: — No! to niechże zaraz idzie, żebym ja ambarasu nie miał. — Żałowali wszyscy Marysi, a ona przez świekrowę przestraszona, także nie miała ochoty ze wszystkiem wracać do dawnego gospodarza. — Myślała tylko sobie: Poproszę o świadectwo, dostanę, bo dzięki Bogu nic tam we wsi złego nie zrobiłam, i zaraz przyjdę; a potem dopiero w lecie do dawnego gospodarza wrócę. Na drugi dzień, akurat była niedziela; Marysię jakby coś jakie przeczucie męczyło, i wszystko powtarzała, nie wiedząc dlaczego: „Bądź wola Twoja Panie!“ I pomyślała sobie: — „Pójdę ja do spowiedzi; niech będę gotowa stanąć przed Ojcem Niebieskim; bo czy ja mogę wiedzieć co mnie biedną sierotę spotkać może?“

Po spowiedzi wróciła do domu, zjadła obiad, zebrała rzeczy i pieniędzy trochę, co za te pół roku wysłużyła i zarobiła, pożegnała się i poszła. A było to w Marcu. Taki mróz tego dnia wziął się, jakby na nowo zima nadchodziła; a co gorzej, śnieg tak miótł, że oczy zasypywał. Miała Marysia trzy mile zrobić; to nie taka to straszna droga dla nóg młodych. Jeszcze za widna minęła Sawin i szła sobie drogą; ale jak już karczmę malowaną minęła, ze wszystkiem się zciemniło, a śnieg tak drogę zasypał, że nieboga co miała iść drożyną do księżej wioski, gdzie był jej gospodarz dawny, ona poszła w lewo, jak droga przez błotniste łąki prowadzi do miasta.

Coraz ją gorszy strach ogarnia, bo słyszy jak wilki wyją! Idzie coraz spieszniej, aż się w niej dech zabija. Jakieś świa-

tełko zda się ukazywać, więc ona myśli sobie: To już nasza wioska. Ale jej dziwno że coraz jej ciężej iść, bo nogi jej gdzieś tak zapadają, że wyciągnąć ich ciężko; a zimno ją tak przejmuje, że aż ją sen morzy. Tak dopiero zmiarkowała, że ona gdzieś na błota weszła, aż pod same miasto, w którem widać z daleka światło. Więc zwraca się ku światłom, i jedno z poza domów wyraźniejsze spostrzega, tak że aż z daleka od okien świeci się śnieg do koła; myśli sobie: — No, to i dobrze, po co mi iść do miasta? i tu ludzie znać mieszkają, to mnie przenocują. I idzie dalej nieboga. Gdy się ze wszystkich sił spieszy i zbliża do domostwa, z daleka słyszy jakieś głosy męzkie; niby się jej zdaje, że jakby się śmieli, to znów, jakby kłócili, przeklinali. — Zlękła się, ale idzie, bo chce co prędzej do domu, zkąd światło takie bije, dostać się. Aż tu przygląda się, a od światła z okien zaczyna się dokoła robić widno, i poznaje, że to dwóch obdartych jakby drabów idzie ku niej. I jeden mówi do drugiego: — Co ty mi tam gadasz żem zgubił; ja nie zgubił, tylko to pewno ta baba czarownica wzięła! oj gdybym ja ją złapał — i zatoczył się, taki był pijany. Tak Marysia stanęła jak wryta; nie wie co robić; chce uciekać, ale ją zobaczyli, i dalej za nią. Jeden ją chwyta za sukmanę, drugi zdziera rańtuch z głowy, a woła: — Toś ty babo skradła moją czapkę. Dawaj sukmanę za nią! — Marysia krzyczy, że ona nie wiedziała, że ona cudza, idzie szukać noclegu bo zbłądziła.

Ale gdzie się kto z pijanemi dogada! W karczmie, z której światło biło, tak na skrzypkach rzępolili, tak pijani krzyczeli, że nikt nie słyszał krzyku biednej Marysi; a ona żeby się wyrwać z ich rąk, pozwoliła sobie zedrzeć sukmanę, a sama wyrwawszy się pobiegła w lewo, i choć nie wiedziała gdzie idzie po nocy, biegła, biegła, co tchu miała, aż na jakieś drzewo natrafiła i stanęła. Pomacała drzewo, i poznała że to był krzyż. Tak wtenczas padła na kolana, i płakać i modlić się zaczęła, i prosiła Boga, żeby jeśli wola Jego, nie umarła tak na drodze, żeby jej ciało nie świeciło nagością. Jakoś zrobiło się jej spokojniej i jakby cieplej; przytomność jej wróciła i pomyślała, że właśnie figura stoi na drodze do księżej wioski; że gdyby jej Bóg dał siłę iść dalej, toby i zaszła, byleby światło

jakie pokazało jej drogę. Ale gdzie tu sił wziąść: tu mróz, a ona w koszuli, w gorsecie tylko i spodnicy; rańtuch nawet z głowy jej zdjęli! Tak idzie, idzie a modli się; w głowie się jej zaczyna mącić, a przed oczami to światło to ciemno jej się robi, tak, że różne rzeczy jej się przewidują; i niby widzi że dziaduś z torbą idzie przed nią, i że od torby jego białej jakby jaka jasność bije i oświeca jej drogę. Więc idzie co ma tchu, aż widzi wyraźnie małe światełko z poza drzew; tak zbiera siły i biegnie, jakby ją kto popychał. Dopadła do chatki, stuka, aż otwierają się drzwi i wychodzi strasznie czarny człowiek. Marysia krzyknęła, ale jak się zaczęła przyglądać, tak poznała, że to węglarz, co pod lasem tuż przy jej wiosce mieszkał i ona go znała. Dopiero ręce składa i dziękując Bogu prosi o nocleg. Zdziwił się on i żona jego, która właśnie co tylko miała zgasić ogień, nim Marysia zastukała. Pytali jej to o to, to o owo, to o tamto, ale nieboga nie umiała odpowiadać, tak się jej w głowie mąciło, taka ją straszna gorączka rozpaliła. Położyła ją węglarka koło siebie na tapczanie, okryła, a ona zasnęła jak nieżywa; a we śnie zdawało się jej, że dziaduś ją prowadzi i aż do domku czystego, nowego doprowadził ją, i mówi do niej: — „Spoczniesz tutaj, dopóki cię Bóg nie zawoła; spoczniesz, żebyś Bogu i ludziom służyła, żebyś była przykładem, żeby ludzie wiedzieli że sieroty Bóg nie opuści; bo ona jeśli się Boga boi i od grzechu ucieka, to jest Bogu-miłą.“

Nazajutrz nie mogła Marysia iść do gospodarza swego, choć tak nie daleko było. Leżała bez pamięci, nie wiedzieć co gadała; zdawało się jej, że widzi swego dziadusia i domek, który jej pokazuje, i mówi głośno: — Och dzięki Bogu! dobrze, dobrze że przyprowadziliście mnie do takiego domku jasnego, ślicznego: to on już mój będzie, to ja w nim odpocznę, pod tą gruszą usiędę, będę tu Boga chwaliła! — Przelękli się biedni ludziska! Tak co tu robić? Idzie sam węglarz do gospodarza, zkąd Marynka była i mówi wszystko. Zdziwił się i pożałował człowiek sieroty; przyjechał, owinęli w kożuch Marysię, i powiózł ją do domu.

Nie daleko była wieś śliczna, a we dworze pani miłosierna, co wszystkich kurowała, a jej córki same po chatach do chorych chodziły; więc zaraz do niej poszedł gospodarz. Pani zaraz kazała z Chełma doktora przywieźć, i zaczęli kurować Marysię. Dopiero w trzy tygodnie przyszła zupełnie do przytomności, i opowiadała, co to ona za przypadki przebyła; szczęściem że pieniądze, które sobie wysłużyła i zarobiła, miała za gorsetem; więc choć te jej nie przepadły, i gospodyni rada była, że choć na sukmanę będzie miała. A że jej sumienie wyrzucało, że tak przez nią Marysia uciekać musiała, i że jak jej nie było, poznała że to trudno o taką drugą: więc dobrą dla niej była, i wszystko jej mówiła: — „Bądź dobrej myśli Marysiu; jak ci Bóg da zdrowie, to cię za Iwanka wydamy i będziesz niewiastką naszą; a jak wam Bóg dopomoże, to pójdziecie na swoje gospodarstwo.“ Marysia słuchała i dziękowała gospodyni; ale jej się czegoś serce ściskało i smutek ją ogarniał jak tego słuchała.

Nadeszła Wielkanoc. Marysia blada jak chusta, już chodzić poczynała. Aż tu w trzecie święto, kiedy sobie siedzą wszyscy za stołem, Iwanek trochę napity drzemie na tapczanie, a tu zajeżdża ktoś na podwórko i pyta na całe gardło: — „Czy tu gospodarz Szumlak mieszka?“ — Wybiega gospodyni, a Marysi tak czegoś się zrobiło słabo, jak spojrzała przez okno; tak jej serce bić poczęło, że nie mogła się ruszyć. Aż tu wchodzą do chaty trzech gospodarzy w nowych sukmanach, w czapkach z baranami; a jeden z nich smagły, gładkiej twarzy, młody, z czerwonym pasem i czapką wysoką z siwym baranem. A najstarszy mówi: — „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Pokój temu domowi!“ — I dopiero powiada: — „Oto syn mój upodobał sobie wychowankę waszą, i przyjechaliśmy o nią prosić; co mieliśmy to swachów wysyłać, to wszystkie korowody robić, woleliśmy tę rzecz zrobić z waszecia i przyjechaliśmy sami.“ — Marysia poznała w młodym sołtysie *) tego, co to jak ją do

*) Sołtysi niedaleko miasteczka Sawina mają pewną ilość gruntu na własność nadaną przez Władysława IV. króla, w nagrode za waleczność w boju.

wójta wołali, on się wypytywał o nią, i co już nieraz spotykała go w kościele, w Sawinie; on tam niedaleko miał swój grunt i nowo wybudowany dom.

Krótko mówiąc, w miesiąc potem poszła Marysia za młodego sołtysa; — bo gospodarze choć żałowali, że nie u nich zostanie, do woli jej zostawili, bo nie chcieli jej losu zagradzać; a też wiedzieli że sołtysi, choć czynszu nie płacą, ani pańszczyzny nie robią, nie wszyscy się dobrze mają, i nie wszyscy statkują. Ale ten był jeden pomiędzy nimi, co i bogaty i nie pijak i rządny; a Marysia do niego serce miała, a widzieli, że dla Iwanka nigdy nie była chętna.

Jak pojechała Marysia do męża i spojrzała na biały większy od innych dom, tak sobie wspomniała, że taki jak jej dziaduś pokazywał we śnie, że w nim spocząć miała.

Dzięki Bogu! że się tak skończyło — zawołała Marynka, gdy Paraszka mówić przestała. — Doprawdy że mi aż serce biło, jak ona nieboga tak błądziła.

— Już to prawda — ozwał się stary Jakób — że Bóg choć próbuje, to nie opuści, i jeszcze w tem życiu nagrodzi tego co się grzechu boi. Posłuchajcie młodzi mnie starego, i te słowa moje zachowajcie w pamięci, że gdyby tak wszystkie dziewczęta, jak Marysia, były czyste przed Bogiem i ludźmi, toby Bóg błogosławił i wszystkoby u nas szło dobrze. Na kobiecie wszystko polega; jak kobieta uczciwa, trzeźwa, gospodarna, to i męża do dobrego nawróci, dziatki dobrze wychowa, i błogosławieństwo Boże w domu panuje.

RÓŻNOŚCI.

Jakim sposobem można z lata aż na zimę jaja przechować.

Józefowa. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, gotowiście na targ?

Wawrzkowa. Zaczekajcie chwilkę, jeno jaj nałożę do kosza.

Józefowa. A dyć ich tu macie już kilka mędli.

Wawrzkowa. To wszystko mało,

pójdźcie ze mną do komory, to mi pomożecie zestawić cebra, co mam pod nim beczułkę z jajami.

Józefowa. Beczułkę zaś, a zkądże tyle? pewnieście po wsi skupowali.

Wawrzkowa. Wszystkie mam po swoich kurach.

Józefowa. Toć przecie nie macie jeno te trzy: srokatą, białą i kusą.

Wawrzkowa. Powiadam wam kumo, że po tych trzech, ale chodźcie do komory, to więcej zobaczycie.

Poszły do komory, ruszyły ceber, a Wawrzkowa zdjęła dno z beczułki i mówi do Józefowej: Patrzajta!

Józefowa. No i cóż, beczka, a do samego wierzchu popiół.

Wawrzkowa. Ale co pod popiołem? I odgarnęła ręką, a tu się pokazało pełno jaj. Wiecie moja kumo, mówiła Wawrzkowa, że ja te jaja zbieram od samego świętego Jana.

Józefowa. To pewnie wszystkie zatęchły.

Wawrzkowa. Nie powinno być ani jednego zepsutego, bom świeżutkie schowała.

Józefowa. Co wy też kumo powiadacie? dyć u mnie to jak jaja poleżą trzy albo cztery niedziele, to wnet zatęchną.

Wawrzkowa. Bo sobie kumo nie umiecie radzić. Widzicie, ja w lecie nie sprzedaję, bo wtedy jaja bardzo tanie, ale jak w zimę podrożeją, to się prędzej kilka złotych uzbiera; wy macie więcej kur, to prędzej obstaniecie.

Józefowa. Przecie ja tego nie rozumię, chyba że umiecie czarować.

Wawrzkowa. Jest na to i bez czarów sposób, com go się od jednej dobrej gospodyni wyuczyla.

Józefowa. Proszę was też kumo, nauczcie mię, to wam pięknie podziękuję.

Wawrzkowa. Otóż widzicie, jak kura zniesie jaje, to je trza na łyżce trzymać we wrzątku chwilkę, a jak wystygnie, tłustem posmarować i wsadzić cienkim końcem w suchy popiół, obsypać nim w koło i dobrze obetkać, a z wierzchu przysypać też suchym popiołem, ale trza jaja tak ustawić aby się z sobą nie stykały. Tym sposobem to można i dwa lata przechować, i nie zatęchnie.

Józefowa. Ale jak się włoży do wrzątku, to się uwarzy.

Wawrzkowa. To też wam mówię, że ino chwilkę małą. Otóż macie i całą naukę.

Józefowa. Bóg wam zapłać kumo. że się też to człek do śmierci musi uczyć rozumu!

Mrówki. Każde zwierze ma sobie od Pana Boga nadany zmysł, co mu zastępuje rozum. Nie jedno umie sobie radzić w różnych potrzebach, choć samo nie wie dlaczego tak, a nie inaczej robi. Ot i mrówka, zmyślne to niezmiernie stworzenie, łączy się w wielkie gromady, zakłada mrowisko, zwłócząc ze wszystkich stron szpilki sosnowe, świerkowe i jodłowe, różne gałązeczki, i buduje jakby jaką ogromną wieżę, z gankami, ulicami i broni swej siedziby przeciwko innym mrówkom. Na zimę zwłóczy ziarno i chowa je w wykopanych

pod mrowiskiem dołach, żeby od głodu w czasie mrozów nie zginęła.

Ale to jeszcze mniejsza że chowa; lecz jak sobie radzi, żeby zboże nie porosło? Wiadomo każdemu że zboże zagrzebane w ziemi, a jeszcze wilgotnej, puszcza kiełki. Otóż mrówka chcąc temu zaradzić aby nie porastało, ugryza od każdego ziarnka kiełek i tym sposobem chroni je od porośnięcia.

Jak ratować zmarzniętego. Przywieźli raz człeka zmarzłego; mówiono, że już trup, bo ani dychnie; ale doktor, co tam był, kazał go wnieść do sieni, rozebrać do naga i ułożyć na kupie śniegu; i obłożyli go tym śniegiem na pół łokcia grubo, a głowę mu podparli żeby nie wisiała na dół. Nie wyszło i dziesięć pacierzy, zaczęła woda z niego spływać kroplami, bo się śnieg topił. Jak to zobaczył doktor, tak powiada: dobra nasza, będzie żył. Otrzyjcie go teraz do suchości.

Więc gdy go otarli, tak kazał biedaka zanieść do ciepłej izby, włożyć do łóżka i przykryć derką.

Już go ułożyli na piękne, a tu doktor ujrzał że ma jedną rękę białą i twardą, więc kazał znowu śniegu przynieść i trzeć mocno, aż i ta ręka odmiękła i rozgrzała się. Żeby tak był zostawił rękę przemarzłą, toby potem biednemu człeku spuchła, i ciało jak po oparzeliźnie spadałoby kawałkami.

Później może w godzinę derkę zdjęli i przykryli pierzyną, a doktor mu wódką natarł twarz i skronie, niedopuszczając do oczu. Tymczasem baba utarła chrzanu i przyłożyli mu pod nos, więc biedakowi drgnęły powieki raz i drugi, i oczy otworzył. Tak uwarzyli mu lipowego kwiatu i dali wypić. Przyszedł do siebie i nie wiedział co się z nim działo, bo na drodze uziąbł i zasnął, a najbardziej narzekał że go ręka boli; doktor mu kazał tę rękę obwinąć flanelą, i potem chory zasnął, rozczerwienił się bardzo, tak mu obwinęli głowę chustą, zmaczaną w wodzie. Po południu już mu było lepiej i dziękował doktorowi, że go odratował od śmierci.

Mój Boże! niejeden tak w polu natrafi biedaka, aniby mu do myśli nie przyszło, że go jeszcze uratować można.

Wrony. W czasie zimy wron nie brakuje w miastach; latem trzymają się one więcej wsiów, lasów i pól. Jeden gospodarz chcąc się dowiedzieć, czem też wrony żyją i czy wielkie robią szkody, polował na nie przez cały rok, a co którą zabił, to jej rozerznął żołądek i patrzył co ma w środku. Otóż przekonał się, że od Wielkiej Nocy do świętego Jana jedzą prawie same robaki, przez miesiąc po świętym Janie wiśnie i groch, potem do świętego Michała pszenicę, jęczmień i owies, oraz nieco robactwa. A od świętego Michała do Bożego Narodzenia, jedzą najwięcej żołędzi i nieco zboża. Ztąd każdy rolnik może się przekonać, że wrony na wiosnę są bardzo pożyteczne bo gubią robactwo, a szkody dopiero zrządzają w lecie i ku jesieni. Źle więc ten robi, co wrony tępi na wiosnę; prędzejby należało je gubić pod jesień, kiedy psują zboże; ale zawsze korzyść, jaką daja na wiosnę, jest większą od szkody, którą później zrządzają.

Stara prawda.

Kiedy ogrodnik o deszcz modły wznosił,
Brat jego garncarz o pogodę prosił. —
Jeszcze się ten nie urodził,
Co by wszystkim tu dogodził.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.